

Poległym należy się szacunek



Monte Cassino, fot. wikipedia.

Zdzisław Najder

Latem w roku 1960 udało mi się zrobić wycieczkę do Monte Cassino. Sławny klasztor benedyktyński na szczycie wzgórza był wówczas dopiero odbudowywany po alianckim bombardowaniu. Wśród okolicznych mieszkańców pamięć o walkach sprzed 16 laty była jeszcze żywa i łatwo dopytałem o drogę do *cimiterio polacco*. Jest to z pewnością najpiękniejszy z włoskich cmentarzy wojennych. Prawdziwa nekropolia wielokulturowej II Rzeczypospolitej, z kwaterami katolicką, unicką, żydowską i prawosławną.

Kiedy chodziliśmy wśród grobów, odczytując napisy, zauważyłem nieopodal sporą grupę innych odwiedzających, mężczyzn i kobiet w średnim wieku. Niektórzy mieli w rękach wiązanki. Kiedy podszedłem do nich, ze zdumieniem przekonałem się, że mówią po niemiecku. Okazało się, że to weterani walk o wzgórze, którzy po odwiedzeniu cmentarza kolegów przyszli z rodzinami złożyć kwiaty na grobach

przeciwników.

Do dziś pamiętam swoje zaskoczenie. Ale naprawdę nie powinienem był się dziwić. Szacunek dla poległych wrogów jest składnikiem kultury europejskiej. Czytamy o tym już o Homera. W *Iliadzie* Achilles, rozwścieczony na Hektora, bo zabił jego najbliższego przyjaciela Patroklesa, najpierw wyrzuca trupa - ale potem, prześlągany przez Priama i zawstydzony, oddaje mu pośmiertny hołd. I jest jasne, że tak być powinno.

Jest również dla Homera oczywiste, że nie należy zabijać rannych, bezbronnych lub poddających się. Tak jest na dwa i pół tysiąca lat przed Konwencją Genewską; ale sama zasada istniała w cywilizacji europejskiej zawsze. Kiedy w styczniu 1945 roku widziałem, jak na wsi pod Piotrkowem Trybunalskim zabijano kolbami poddających się Niemców, z przerażeniem patrzyłem na te przejawy agresji, sprzeczne z naszą kulturą.

Broniąca ruin Monte Cassino I dywizja strzelców spadochronowych Wehrmachtu w obliczu nieuchronnej klęski, wycofała się z klasztoru, zostawiając na miejscu setkę rannych. Tam zajęli się nimi nasi ułani z 12 pułku Podolaków. Może wśród tych, których w 1960 roku widziałem, byli niegdysiejsi ranni?

Szacunek i litość, okazywane rannym i zabitym, można tłumaczyć na dwa sposoby. Pierwszy jest zdroworoządkowy i zwykle wymieniają go socjologowie. Starogrecki wojownik, średniowieczny rycerz czy dwudziestowieczny żołnierz zdawał sobie sprawę, że i on sam może zostać ranny, może pójść w niewolę, może zginąć. Był więc skłonny pohamować wściekłość i ograniczyć nienawiść na rzecz tego, co po angielsku nazywamy *fair play*, czyli równe traktowanie.

Myślę jednak, że nie mniej ważne dla antycznych herosów i późniejszych zabijaków w zbrojach, albo skórzanych kaftanach było coś innego: szacunek do samych siebie. Myśleli: nie walczymy ze słabymi; jeżeli zwyciężamy, to silnych - więc uznanie dla ich męstwa zwiększa nasze własne osiągnięcia. Dość siebie cenimy, by nie zabijać leżących i okazać wspaniałomyślność pokonanym. Znęcanie się nad słabszymi jest poniżej naszej godności.

Nie wolno też lekceważyć wpływów chrześcijaństwa, które głosiło trudną doktrynę

szacunku dla każdej istoty ludzkiej, swojego czy wroga. Przebijała się ona z trudem przez skorupy barbarzyństwa.

<https://www.youtube.com/watch?v=U41nT3J3T4s>

Pamiętna noc na Monte Cassino



Zofia i Florian Śmieja z dziećmi w podróży.

Florian Śmieja

Z żoną i czworgiem dzieci kempingowym samochodem wybrałem się do Polski w 1974 roku, a w drodze powrotnej jadąc do Hiszpanii odwiedziliśmy Włochy.

Miało się ku zachodowi, był czas ruszyć w drogę powrotną do Rzymu. Gdy zapadł już zmrok zbliżyła się odnoga szosy prowadząca do Cassino. Postanowiliśmy zboczyć. Kiedy po kilkunastu kilometrach byliśmy u podnóża góry, stanęliśmy, by zasięgnąć języka. W barze Włoch opisał drogę na cmentarz, ale nie umiał nic więcej powiedzieć o nim, bo dawno nie był na górze. Wjechaliśmy więc w ulice miasta, a znalazłszy drogę wiodącą do klasztoru, jęli się wspinać na strome zbocza Monte Cassino. Wóz nasz z mocnym warkotem parł wytrwale w ciemnościach windując się co raz wyżej nad rzeńskie oświetlone miasto. Niebo było naładowane gwiazdami a ponieważ był

początek stycznia 1975 roku, powietrze było chłodne. Gdy dojechaliśmy do rozwidlenia dróg, byliśmy w ustroniu nad którym stał biały, upiorny w księżycowej poświacie klasztor bez jednego światełka z jednej strony, na tle ciemnych szczytów lasu z drugiej strony.

Stanąwszy w końcu przed bramą, zauważyliśmy napisy i poszliśmy, uzbrojeni w latarkę w kierunku, jak miało się wnet okazać, złym. Wątki migot prowadzącego nas światła wnet ogarnęły lasy porastające górę, kiedy zaczęliśmy iść pod górę w ciemną noc w poszukiwaniu grobów żołnierzy, których droga tu się urwała. Dzieci ogarnął jakiś lęk, bo szły nadzwyczaj skupione podekscytowane całą wyprawą, a napisy na drzewach ostrzegały, że okolica pełna była niewypałów.



1946 rok. Ruiny klasztoru Monte Cassino - krzyż nagrobny na Polskim Cmentarzu Wojennym, fot. T. Zajączkowski.

Szliśmy ostrożnie dziwując się, że to tak daleko i wysoko. W dwu miejscach natrafiliśmy na skrzyżowanie, ale w końcu stanęliśmy na szczycie, na którym wynosiła się nad okolicę iglica imponującego pomnika ku czci żołnierzy 3 Dywizji

Strzelców Karpackich. Okazało się, że byliśmy na wzgórzu Albaneta, o które toczyły się krwawe walki, w których oprócz Polaków brali udział żołnierze oddziałów brytyjskich, amerykańskich, indyjskich i Gurków. Na tej „górze ofiarnej” przy świetle latarki czytaliśmy nazwiska żołnierzy poległych na ziemi włoskiej. Kiedy tak staliśmy na chłodzie i patrzeli na okolicę zrozumieliśmy, że zagubiliśmy drogę i trzeba było zejść w dół. Przy dramatycznym akompaniamencie spadających „gwiazd”, którym dzieci nie mogły się nadziwić, kiedy odbiwszy w bok i uszedłszy kawałek zbudziłyśmy sforę psów w jakimś gospodarstwie, spotkaliśmy ludzi i wyłuszczyliśmy im nasz interes po nocy. Wytłumaczyli nam jak iść, a nawet podwieźli samochodem. Od bramy, gdzie stał nasz wóz trafić było łatwo. Obok włoskiego pomnika biegły schodki, które szeroką aleją wiodły do cmentarza. Wnet stanęliśmy przed żelazną bramą zamkniętą na łańcuch. Nie chcieliśmy jej forsować, nie godziło się przez nią przechodzić. Odczytaliśmy napisy, przy latarce kontemplowaliśmy zbiór mogił żołnierzy, co ziemi włoskiej oddali ciało, a Polsce serce. Nasza modlitwa o spokój ich dusz, kiedy staliśmy w ciemności pod gwiazdzistym niebem przed zamkniętą kratą cmentarza w zimną noc styczniową miała w sobie coś z romantyzmu i ironii montekasyńskiego czynu. Przyszły mi na myśl słowa Zbigniewa Herberta:

Bohaterowie nie wrócili z wyprawy

Nie było bohaterów

Ocaleli niegodni

Bo jak powiedział jeden z uczestników włoskiej kampanii, który zginął pod Anconą: „z tej wojny nie należy wracać”.

Kiedy odjeżdżaliśmy zziębnięci, przejęci i zmęczeni, nie byłem pewien, czy to przeciwstawienie niememu klasztorowi upiornie płynącemu po niebie, bladej kwatery poległych żołnierzy, jest najszcześniejsze i czy zwycięzcy na dłuższą metę nie przyplacą tego także swoim dobrym imieniem.

I w milczeniu powróciliśmy późną nocą do Rzymu.

Jeździec, który przywraca pamięć

Rozmowa z Włodzimierzem „Wową” Brodeckim - człowiekiem, który wymyślił samotne rajdy konne po Europie i był trzykrotnie na koniu na Monte Cassino.



1 września 1984 roku. Major Włodzimierz „Wowa” Brodecki oddaje hołd poległym polskim żołnierzom na cmentarzu na Monte Cassino, fot. arch. Adama Brykajły.

Janusz Szlechta:

Może Pan wytłumaczyć, skąd u Pana ta wielka miłość do koni?

Włodzimierz Brodecki

Mój ojciec był kawalerzystą w Wołyńskiej Brygadzie Kawalerii, między innymi brał udział w bitwie pod Mokrą w 1939 roku. Potem, w czasie II wojny światowej, był żołnierzem 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, a w 1945 roku trafił do I Samodzielnej Brygady Kawalerii, walczył o Wał Pomorski, Berlin, a szlak bojowy zakończył w Sandau. Po wojnie był kwatermistrzem w szpitalu wojskowym w Chełmie Lubelskim. Tam też były konie... Dzięki ojcu wyrosłem w klimacie wojskowym. Stąd te moje żakinady, przejażdżki i rajdy konne już w szkole średniej i potem podczas studiów. Lubię tak gnać na koniu w świat, bo wiem, że koń mnie nie zawiedzie. Spełniam też w ten sposób swoje tęsknoty za przestrzenią, za horyzontem...

Woli Pan konie od ludzi?

W moim życiu zawsze najważniejsze były konie, teatr i dziewczyny - właśnie w takiej kolejności. Bo z końmi miałem do czynienia od dziecka. Przyjaźń z końmi bardzo mnie podbudowuje, dodaje mi sił.

Miał Pan ulubione konie?

O tak, wiele. Pierwszy, na którego wsiadłem jako mały chłopiec, to był „Gniady”. Wspaniały koń rasy mongolskiej. Nieduży, z charakterem. Gryzł, kopał wszystkich dookoła, ale w stosunku do mnie był łagodny. Wspomnę też o klaczy „Kamea” - to z nią w 1984 roku po raz pierwszy dotarłem na Monte Cassino. „Kamea” była po ogierze „Kobryniu”, mistrzu Polski w skokach i ujeżdżaniu, który na olimpiadzie w Moskwie w 1980 roku zdobył srebrny medal. Klacz tę dostałem na wyprawę od artysty malarza z Kielc - Tadeusza Tchórze. Na trzecią wyprawę na Monte Cassino wyruszyłem na koniu „Tornado”, który był synem „Kamei”. To prawdziwy arystokrata. „Tornado” był bardzo medialny, lubił być w centrum zainteresowania i wiedział, jak się ustawić do kamery.

Wymyślił Pan samotne rajdy konne po Polsce, po Europie. To wymaga ogromnego wysiłku, przygotowań. Nie lepiej było po prostu wsiąść w samochód, albo w autobus turystyczny, którym Pana zawiozą na miejsce, wszystko pokażą, wytłumaczą?

Dla mnie najważniejszy jest cel oraz sposób podróży. Chciałem dotrzeć do tych

wszystkich miejsc, w których walczyli kiedyś polscy żołnierze. Chciałem pokłonić się tym miejscom, oddać hołd prochom naszych żołnierzy. Trudno mi było sobie wyobrazić, że taką wyjątkową pielgrzymkę odbędę autokarem. Nie chciałem być zwykłym turystą. Zawsze udawałem się do tych ważnych dla Polaków miejsc z symbolami polskiego oręża - na koniu, w mundurze majora Hubala... Mundur ten, po zakończeniu zdjęć do filmu „Hubal”, trafił do Teatru Ludowego w Krakowie, kierowanego przez Ryszarda Filipskiego - to on grał rolę Hubala. W 1984 roku Henryk Giżycki, dyrektor Teatru Ludowego, wręczył mi ten mundur, abym pojechał w nim na Monte Cassino. Nie bardzo pasował na mnie, bo Ryszard Filipski był niższy ode mnie i tęższy, więc konieczne były przeróbki.

Kiedy zaczęły się te Pańskie konne wojaże po Polsce, a potem po Europie?

To była konsekwencja mojego ciągłego obcowania z końmi. W 1965 roku ekipa filmowców kręciła film przyrodniczy w puszczy nadburzańskiej, niedaleko Sobiboru, gdzie w czasie wojny był niemiecki obóz zagłady. Któregoś wieczoru, na zakończenie dnia zdjęciowego, rozpaliliśmy ognisko. Jakoś tak nas naszło, że zaczęliśmy opowiadać o swoich marzeniach. Reżyserka filmu powiedziała, że chce popłynąć tratwą Wisłą do Gdańska. Któryś z kolegów powiedział, że chce objechać Polskę na motorze, a ja - że na koniu. To zrobiło na wszystkich wrażenie. Od razu zgłosiło się kilka chętnych osób. Powiedziałem, że muszą się nauczyć jeździć konno, musimy się dobrze przygotować - i dlatego wyruszymy za pięć lat. Ale po pięciu latach już nikogo taka wyprawa nie interesowała. Wyruszyłem więc sam. Wyjąłem z szafy medale i odznaczenia ojca, które dostał za udział w różnych bitwach i spisałem z nich nazwy miejscowości. Potem naniosłem je na mapę i tak powstała trasa, będąca powtórzeniem szlaku bojowego I Samodzielnej Brygady Kawalerii, w której ojciec walczył pod koniec II wojny: Lublin, Chełm Lubelski, Warszawa, Bydgoszcz, Berlin. Wyruszyłem na klaczy „Dzidzia”, którą dostałem od pewnej piętnastoletniej dziewczyny. To był rok 1970, trudny dla Polski.

Nie bał się Pan tak samotnie jechać... Co Pan z tego rajdu zapamiętał?

Pamiętam wjazd do Warszawy. Milicja zatrzymała mnie na rogatkach i nie chciała wpuścić do miasta. Na szczęście pojawili się dziennikarze i milicja nie miała wyjścia. W gazetach o nas pisali i pokazali w kronice filmowej. Najmocniej przeżyłem

spotkania ze starymi żołnierzami, uczestnikami walk, którzy zapraszali mnie do swoich domów. Jeden z nich, Michał Antochow, wsiadł na swojego konia i przez trzy dni mi towarzyszył, opowiadając o różnych wydarzeniach sprzed lat, których był świadkiem bądź uczestnikiem. Razem odtworzyliśmy zaślubiny Polski z morzem. Wtedy zrozumiałem, że dobrze zrobiłem, wybierając się na tę wyprawę. Potem już nie miałem wyjścia - co pięć lat ruszałem tym samym szlakiem, odwiedzając te same miejsca. Widziałem jednak, jak zmieniają się te miejsca i ludzie...

To wtedy przyszło Panu do głowy, żeby wyruszyć do Włoch, na Monte Cassino?

Tak. Pomyślałem sobie, że może by tak pojechać w okrągłą rocznicę bitwy - wypadło mi, że najlepiej byłoby w 40. rocznicę, a więc w roku 1984.

Sam Pan się wybrał?

Była nas trójka: Adam Brykajło - absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej (później został moim szwagrem) i Ania Bizukojć - studentka III roku Uniwersytetu Jagiellońskiego. Adam prowadził fiata 126p z przyczepą, dbał o wszystkie sprawy kwatermistrzowskie - z jedzeniem dla konia włącznie i był naszym fotografem. Ania znała trzy języki: angielski, niemiecki i włoski, była więc tłumaczką, dziennikarką i prowadziła kronikę wyprawy.

Europa była wtedy podzielona, z granicami trudnymi do przejścia... Co było największą przeszkodą w zrealizowaniu tego wyjazdu?

Przygotowywaliśmy się pięć lat do wyprawy. Najwięcej problemów było z uzyskaniem pozwolenia na jej zorganizowanie, bo władzom taki pomysł się nie podobał. Problem był też z otrzymaniem paszportów i wiz do Włoch - trzeba było stać półtora miesiąca w kolejce przed ambasadą włoską w Warszawie. Co kilka dni w tej kolejce trzeba było się zgłosić. Najpierw po kolei my jeździliśmy, a potem znaleźliśmy ludzi, którzy chodzili za nas do kolejki.

No i jak sobie poradziliście?

8 maja 1984 roku wyruszyliśmy z Chełma Lubelskiego do Krakowa. Ja jechałem na klaczy „Kamea”. W Krakowie powitali nas kombatanci spod Monte Cassino,

dziennikarze. 18 maja, w dniu zdobycia Monte Cassino przez żołnierzy II Korpusu Polskiego, mieliśmy wyruszyć z Krakowa, pisały o tym gazety, tylko że my... nie mieliśmy paszportów. Zrobiła się lekka zadyma i wreszcie dostaliśmy zgodę z ówczesnego Ministerstwa Sportu i Turystyki na wyjazd. To wystarczyło. Kiedy dostaliśmy paszporty, natychmiast pojechalismy do ambasady włoskiej po wizy.



Anna Bizukojć, Adam Brykajło i Włodzimierz „Wowa” Brodecki (na koniu) przed bramą cmentarza polskich żołnierzy na Monte Cassino, 1 września 1984 r.

Koń też miał paszport?

Nie. Miał cały plik badań weterynaryjnych przetłumaczonych na angielski i niemiecki, i jedno świadectwo.

No i ruszyliście przez Europę. Nocowaliście w hotelach, żywiliście się w restauracjach - skąd mieliście na to pieniądze?

Nic z tych rzeczy. Mieliśmy ze sobą 500 dolarów, uciulanych przez całą rodzinę. Chcieliśmy jechać najkrótszą drogą, przez Austrię, ale kiedy Austriacy zażądali 300 dolarów kaucji za każdy dzień pobytu na terenie ich kraju - zrezygnowaliśmy.

Pojechaliśmy przez Czechosłowację, Węgry i Jugosławię. Problemy mieliśmy tylko na granicach, bo były strasznie długie kolejki, no i pogranicznicy patrzyli na nas dziwnie. Ale wszystkie granice udało się pokonać sposobem. W każdym z tych krajów pojawiali się dziennikarze, pisali o nas. Ludzie w miasteczkach i wsiach, gdzie się zatrzymywaliśmy, przyjmowali nas w swoich domach, gościli, karmili nas i konia. Nie mogliśmy wyjechać od nich bez prezentu - worka owsa dla konika bądź flaszki dobrej wódki dla nas.

We Włoszech, w porcie Ancona, czekali na nas dziennikarze, fotoreporterzy, kombatanaci włoscy i polscy w mundurach, z medalami. Byliśmy podobnie serdecznie goszczeni przez zwykłych ludzi i właścicieli klubów jeździeckich.

Jak wyglądał Pana wjazd do miasta Cassino i spotkanie z górą?

Dotarliśmy bez problemu. Pamiętam, że zobaczyłem tablicę z napisem „Cassino”, omal nie zemdlałem, tak wielkie były emocje. Zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcia przy tablicy. Następnego dnia, w niedzielę, pojechaliśmy złożyć kwiaty na cmentarzu żołnierzy brytyjskich.

W poniedziałek rano, 1 września, wyruszyliśmy na wzgórze Monte Cassino. Ja jechałem na koniu, w mundurze. Towarzyszyli mi dziennikarze włoscy, mieszkańcy i turyści, którzy bez przerwy robili zdjęcia. Na parkingu podszedł do mnie starszy Niemiec z córką, bo chcieli sobie zrobić ze mną zdjęcie. Powiedział mi, że walczył na Monte Cassino. Co roku przyjeżdżał tutaj dziękować Bogu, że przeżył i uczcić poległych kolegów. Opowiadał, że przeżył tutaj piekło. Potem długo utrzymywaliśmy kontakt.

Na górę wszedłem pieszo, a koń za mną. Przez dwie godziny chodziliśmy pomiędzy grobami polskich żołnierzy. Kiedy zatrzymywałem się, to i koń się zatrzymywał, kiedy ja salutowałem - koń też kiwał głową... To było niesamowite przeżycie.

Jak spisywała się „Kamea”?

Znakomicie, to wspinała klacz. W Czechosłowacji zważyliśmy ją przed wyprawą do Włoch i po powrocie - okazało się, że była cięższa o 40 kilogramów, natomiast ja schudłem 7 kg. Pokonaliśmy 4,5 tysiąca kilometrów w 4 miesiące. Ania wróciła do

Polski pociągiem, bo rozpoczęły się jej zajęcia na uczelni. Ja z Adamem wracałem tą samą drogą, ale już o wiele szybciej, bo było zimno i na granicach nie było tłoku.

Dwadzieścia lat później znowu wybrał się Pan na Monte Cassino...

To była zupełnie inna wyprawa. Zabrałem ze sobą rodzinę - żonę Grażynę i syna Włodka. Żona prowadziła samochód, koń jechał w przyczepie, syn robił zdjęcia i opiekował się koniem. W 1984 r. wyjeżdżaliśmy z socjalistycznej Polski i musieliśmy przebijać się przez europejskie granice. 10 lat później pojechałem drugi raz - wiele rzeczy przyszło łatwiej i prościej, bo wyjeżdżałem z Polski, która stawiała pierwsze kroki w demokracji. W roku 2004 wyruszyliśmy z Polski wolnej, która powróciła do Europy. Zmieniło się wszystko, także koń - „Kameę” zastąpił jej syn „Tornado”. Cały czas jechał w przyczepie, a ja wsiadłem na niego dopiero we Włoszech, w Anconie. Pokonaliśmy w sumie 300 kilometrów. Była to prawie wycieczka rekreacyjna.

Policzył Pan, ile czasu spędził Pan na koniu, ile przejechał Pan kilometrów?

Na pewno objechałbym kulę ziemską i jeszcze wystarczyłoby na sentymentalną wyprawę na Wołyń...



Włodzimierz Wowa Brodecki podpisuje książkę „Wowa Brodecki. Jeździec pamięci” w księgarni „Nowego Dziennika” w Nowym Jorku, fot. Janusz Szlechta.



Włodzimierz Brodecki przy grobie gen. Andersa na cmentarzu na Monte Cassino, lipiec 2004 r.

Drugą Pana miłością jest teatr. Ale przegrywał jednak z końmi...

Teatr pojawił się w moim życiu bardzo wcześnie, niewiele później niż konie. Kiedy byłem w III klasie liceum, w jednej sztuce w Teatrze Ziemi Chełmskiej zagrałem wnuczka. Chyba wypadłem nieźle, bo potem były następne sztuki. Kiedy mój przyjaciel Heniu Giżycki, który grał w filmie „Hubal”, objął kierownictwo teatru w Kielcach, zaraz mnie tam ściągnął.

Potem zagrałem w kilku serialach telewizyjnych, m.in.: „Crimen”, „Kancelarz” i „Żelazna ręka”. Zagrałem we „Wszyscy i nikt” - bardzo mocnym filmie, który pokazuje byłego żołnierza AK walczącego z Ludowym Wojskiem Polskim; nakręcono brawurowe zdjęcia z moim udziałem - strzelałem z karabinu maszynowego podczas jazdy na koniu, w ogóle nie trzymając konia. Zagrałem też epizodyczną rolę Żyda w „Liście Schindlera” Stevena Spielberga (są to sekwencje zaraz na początku), a w

„Ogniem i mieczem” gram pisarza Bogdana Chmielnickiego.

Teraz jestem już na emeryturze, ale wciąż gram w teatrze, na małej scenie Teatru Ludowego, która mieści się w podziemiach krakowskiego Ratusza.

Nowy Jork, 2010 r.

Włodzimierz „Wowa” Brodecki urodził się w 1942 r. w Uściługu Wołyńskim. Mieszka w Krakowie. Zagrał w kilkunastu filmach i serialach telewizyjnych. Pierwszy samotny rajd konny odbył w 1970 r. - szlakiem bojowym I Samodzielnej Brygady Kawalerii w latach 1944-1945. W sumie ma za sobą 30 wypraw. W 2008 r. - za działalność w czasie stanu wojennego w podziemnej Solidarności - został odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. W październiku 2009 r. ukazała się książka Ryszarda Dzieszynskiego „Wowa Brodecki. Jeździec pamięci” wydana przez Salonik - Wydawnictwo i Drukarnię Towarzystwa Słowaków w Polsce.

Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechty „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie”, wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.



Notatki spod Monte Cassino

Józef Poniatowski

Fragmenty pamiętnika z lat wojennych, opracował Florian Śmieja.



Józef Poniatowski na Bliskim Wschodzie,
fot. arch. Zofii z Poniatowskich i Floriana
Śmiejów.

[...] Staraliśmy się o ten wyjazd od kilku tygodni. Mieliśmy wyjechać 8.V., ale potem przyszło zarządzenie, podobno generała Andersa, żebyśmy przyjechali 13-tego, bo akcja zacznie się 15-tego.

Wyjechaliśmy tedy w sobotę i koło 10 rano znaleźliśmy się w II rzucie Korpusu, o 2 km od Venefro, w Sekcji Polowej Propagandy i Kultury. Zameldowaliśmy się u ppłk. Michniewicza. Przyjął nas uprzejmie, wyjaśnił bardzo ogólnikowo sytuację i nieco zmroził wiadomością, że gen. Anders nie tylko nie chce teraz zajmować się prasą czy korespondentami, ale jest przeciwny jeżdżeniu do oddziałów. Okazało się ponadto, że jest to skutek niepowodzenia w pierwszym natarciu.

Mamy pojechać do punktu opatrunkowego. Wita mnie kierownik punktu, porucznik-

lekarz K. Opowiada, jak piekielną mieli robotę przez parę poprzednich dni. Przez ich ręce przeszli prawie wszyscy ranni Korpusu - ponad tysiąc. Było po kilkadziesiąt operacji dziennie. Prawie każdy potrzebuje co najmniej transfuzji krwi. Na trzy dni przed natarciem, Niemcy ostrzelali ich punkt zabijając dwóch lekarzy i kapelana. Stali wtedy o 3 km dalej, już blisko dolnego końca Inferno, ale po tym wypadku musieli się przenieść. Dr K. przyznaje, że nie jest pewne, czy Niemcy chcieli trafić w szpital. Wisiała wprawdzie wielka płachta z czerwonym krzyżem, ale była dość wyblakła, a wąż ostrzeliwują stale, bo wiedzą, że to ważna droga komunikacji. Przy tym, o parę godzin wcześniej udało im się „zmacać” i zapalić znajdujący się opodal skład amunicji.

W czasie naszej rozmowy, przysłuchujący się początkowo kapitan o okrągłej twarzy, odchodzi na bok, zakłada stulę i udziela ostatnich Sakramentów leżącemu obok rannemu. Potem zdejmuje stulę i wraca do nas. Mamy wracać, ale czekamy pół godziny, ruch pod górą wciąż zamknięty.

Nam radzi pułkownik udać się przed północą z mułami niosącymi prowiant do 16. baonu, nie ma nic przeciw temu, żebyśmy dotarli do którejś z leżących na linii kompanii, Mułów jest kilkadziesiąt, wszystkie objuczone, poganiacze Cypryjczycy, podobno doskonale pracują, nasz oficer i dwóch żołnierzy. Noc ciemna, księżyc wszędzie za parę godzin. Rozświetlają ciemności tylko błyski wystrzałów i wybuchów, czasem przetnie niebo łuk świetlnego pocisku. Ogień zresztą nie jest zbyt gęsty i nadal trudno zrozumieć, kto i do kogo strzela. Zdaje się, że to tzw. ogień nękający - dwie strony kładą wiązki pocisków tu i tam, zwłaszcza gdzie znając teren przewidują bądź nieprzyjacielską baterię, bądź skupienia ludzi czy transporty.

Idziemy jeszcze kilkaset kroków drogą w lewo, ku dolinie Maioli. Potem skręcamy od niej ścieżką wspinającą się zboczem na wzgórze Castiglione. Tempo marszu dość szybkie biorąc pod uwagę ciemność, pod górę i ciągłą potrzebę wyplątywania nóg lub głów z drutów telefonicznych. Czasu tracić nie należy bo jednak co noc na tych ścieżkach muły i ludzie giną, o czym świadczy dość często straszliwy zapach padliny. Palić tu już nie wolno, hałasować - jak najmniej. O kilka metrów przed tą zachodnią krawędzią, zresztą dość łagodnie zbiegającą ostatnie dwa schrony, już najbliższe nieprzyjaciela wyjątkowo zakryte i z góry, z jednego z nich wyłazi kpt. Biegunowski, zastępca dowódcy batalionu, przebywający od paru dni z 2. kompanią

Kompania leży tu trzy dni. Zapytuję kapitana o warunki. Nie mają ze sobą ani koców, ani płaszczy. Spać w tych warunkach może tylko ten, kto już potwornie zmęczony. Prowiant przywożą w nocy mułami do batalionu, stamtąd - na ramionach. O ciepłej strawie nie ma mowy, o wodzie do mycia - również. Pytam, czy te przypadkowe strzelaniny, tam i ówdzie padające pociski nie dały się we znaki, czy też kogo z kompanii uszkodziło. „Proszę zobaczyć” , odpowiada po prostu kapitan. Prowadzi mnie o 20 m w lewo od swego schronu: półotwarte stanowisko, na środku mała grządka zruszonej ziemi i kamieni, zatknięty nawet jakiś krzyżyk, o ile dobrze dojrzałem... „Tu spoczywa podchorąży i strzelec, siedzieli w tym schronie, pocisk trafił sam schron, nie było co ratować”. Idziemy o kilkadziesiąt metrów w tył. Kapitan szuka węchem i dotykiem i łatwo znajduje. „Tu także pochowaliśmy dwóch, ale to o dzień wcześniej od tamtych”. Trzeci grób widziałem na wstępie do kompanii. A więc w ciągu trzech dni bez większych działań, w oczekiwaniu, na odcinku podobnym do innych, kompania miała 5 czy 6 zabitych nie licząc rannych. Najbardziej uskarżają się na mózdzierze. Ale w dzień dają się także we znaki niemieccy strzelcy wyborowi.

Oprowadza nas po terenie swej kompanii i zarazem opowiada. Po żołniersku, po prostu. Bierze mnie coraz większy dla tych ludzi podziw. Pytam, czy zmęczenie i stałe napięcie nerwów nie odbiera im zdolności do walki, czy nie łudzą się, że po paru jeszcze takich dniach ktoś ich zluzuje i pójdą na wypoczynek, czy rozumieją, że to dopiero wstęp, że przyjdzie największy wysiłek, w którym na nich właśnie przypadnie rola natarcia. To wszystko dobrze wiedzą. Wiedzą, że zadanie przez ich poprzedników przed paru dniami wykonane nie zostało, więc musi być wykonane przez nich. Spodziewają się każdej nocy rozkazu nacierania na Widmo i dalej na San Angelo. Nastroj twardego realizmu, coś wręcz przeciwnego do „słomianego ognia”, o który tak często i chyba niesłusznie jesteśmy pomawiani.



Polska Armia pod Monte Cassino, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-640-6, za pinterest.

Pomimo ciemności, horyzont rysuje się dość ostro, widać powyginaną linię wzgórz. Kapitan wyjaśnia: Maiola i ten grzbiet za nią, z naszej lewej strony - to region Karpackiej. Lewa krawędź tego grzbietu, za siodłem - to Monte Cassino, a to najwyższe wzniesienie na prawym końcu - to 593. Między nim i dalej w prawo, już przed nami położonymi San Angelo, 593 i in., w przedłużeniu Maioli to Gardziel Śmierci. W tym samym kierunku leży Masseria Albaneta - ruina pośrodku dolinki łączącej rejony działania obu dywizji. Jeszcze sporo w prawo wznosi się Monte Cairo, ale szczytu z powodu ciemności nie widzimy. Zupełnie już po prawej ręce leży Castel Belmonte, a już prawie z tyłu - Cifalos, skąd właśnie teraz strzela niemiecka artyleria. Ogień stamtąd najbardziej zdeprymował nasze bataliony 18 i część 13 na Widmie tragicznej nocy 11/12 maja, bo chłopcy myśleli, że są pod własnym ogniem.

Rzeczywiście, ogień artylerii, co prawda niezbyt gęsty, słyszymy ze wszystkich czterech stron. Z jednej własny, z trzech - nieprzyjacielski. Przypomina mi się bitwa pod Świszczowem w końcu lipca 1920 r., gdy także ogień był naokoło, ale tam rzeczywiście trzeba się było przemykać i wyślizgiwać będąc wewnątrz przeważających sił nieprzyjacielskich.

Jest już prawie pewne, że tej nocy zacznie się natarcie Rzeczywiście o 6. zaczyna się koncert, Muszę jednak przyznać, że przynosi mi trochę rozczarowania. Spodziewałem się więcej. Uprzedzono mnie wprawdzie, że na skutek interferencji fal głosowych huk jest mniejszy niż wynikałoby z dodawania wszystkich jego źródeł, ale przypuszczałem, że przynajmniej jest zupełna ciągłość huku, że nie będzie w nim przerw. Jakkolwiek nerwy były napięte przez samą świadomość, że oto o kilka kilometrów już się toczy walka na śmierć i życie, straszliwa próba naszego Korpusu, od której zależeć może jego sława i uzyskanie nowego atutu dla sprawy polskiej, ale też i utracenie na długo zdolności bojowej - zapowiadało się na razie, że ten dzień będzie osobiście dla mnie prawie zmarnowany. Widoku z tej grupy schronów rozrzuconej w w obszernym gaju oliwnym - żadnego, zresztą wiadomo, że i dalej go nie ma, bo wszystko zadymione. Już znacznie wcześniej przyszła wiadomość, że jeszcze w czasie nawały artyleryjskiej, zaraz po 7 rano Kresowa zdobyła nie tylko resztę Widma, ale o wiele ważniejsze Colle San Angelo, jedną z pozycji kluczowych.



Melchior Wańkowicz, korespondent wojenny 2 Korpusu Polskiego Melchior Wańkowicz (1. z lewej) w towarzystwie nierozpoznanych osób, na szczycie „Widma”. W tle Monte Cairo, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

W miarę jednak upływającego czasu nastroje wyraźnie rzedły, chociaż nic konkretnego nie mówiono. Dowiedziałem się, że najciekawiej jest siedzieć w schronie podsłuchu radiowego i tam też przeważną część dnia spędziłem. Zostałem tam już Wańkowicza, który mając niezawodny instynkt dziennikarski utknął w tym podsłuchu od rana, siedział kamieniem pilnie notując. To słuchanie jest rzeczywiście fascynujące, ale mimo bardzo jeszcze dobrego tonu czołgistów wyczuwało się wyraźnie, że optymizm poranny był trochę przedwczesny. Koło południa Niemcy odebrali San Angelo, po paru godzinach nasi znowu tam częściowo wleźli, ale oczyszczenie wzgórz się nie udawało, straty od moździerzy były coraz większe, Karpacka też nie mogła ruszyć dalej. Batalion 6 majora Różyckiego dotarł na 200 m od Albanety i dalej nie mógł się ruszyć. Płynęły długie godziny bez oczekiwanego sukcesu. Przychodzi zapowiedź: o godz. 13.40 piechota rusza do natarcia na Albanetę, tymczasem okazuje się, że w ogniu nie może się ruszyć. Staje się

konieczne przybliżenie jeszcze tych paru czołgów nie mogą się ruszyć, bo przed nimi kilkudziesięciometrowy pas gęsto zaminowany. Saperzy z początku oczyszczali przejście, ale zrobił się taki ogień, że leżą pod czołgami i nie chcą wyjść. Przez dobre pół godziny trwa wymyślanie na tych saperów, bo od oczyszczenia drogi dla czołgów zależy bardzo dużo, przecież Albaneta to pępek niemieckich pozycji. Słyszę rozkaz Drelicharza: „Ruszcie czołgiem, żeby wystraszyć tych sukinsynów, że ich przejdziecie”. Po chwili meldunek: „Ruszyliśmy, ale ci spryciarze powłazili pod stojący obok czołg z urwaną gąsienicą. Ich dowódca ppor. C. powołuje się na rozkaz pułk. S., że saperów należy oszczędzać. Nic, tylko wziąć kija i wyganiać te cholery”. „Strzel mu w łeb lepiej, to inni wyjdą”. O ile mi wiadomo, to zwrócono się wreszcie zupełnie poważnie do gen. Ducha o zezwolenie na zastrzelenie oficera dowodzącego saperami. Zezwolenie zostało podobno udzielone, ale zanim z niego skorzystano wyjaśniło się, że czołgiści trochę przesadzali, bo siedząc w czołgach nie doceniali bardzo silnego ognia moździerzy i spandauów uniemożliwiających pracę saperów. Ci ostatni próbowali pracować, ale co który głowę podniósł - strzelcy wyborowi nieprzyjaciela widocznie także rozumiejący sytuację, brali go na cel. Paru dostało, trudno się dziwić, że reszta wołała się chować.

Ku wieczorowi zaczęły napływać wiadomości o śmierci wyższych oficerów, Jurny nastrój czołgistów też zaczął nieco opadać. Czuć było zmęczenie, nawet w głosie Drelicharza (nazajutrz został ranny). Brakło im amunicji, mieli już kilku rannych, praca w nieustannym ogniu wyczerpuje. Wezwano z tyłu inny szwadron na zmianę, ale Drelicharz wybłagał, by go nie wycofywano - chce doprowadzić swe zadanie do końca.

Na wieczór zaczęło się wszystko uspakajać bez rozstrzygającego wyniku dla którejkolwiek strony. Widmo było nasze, ale San Angelo i 575 m na odcinku Kresowej, a 595, 567 i Albaneta na odcinku Karpackiej pozostawały częściowo lub w całości w rękach Niemców. A nasze straty już były ciężkie i zmęczenie żołnierza - potworne.



Polska Armia pod Monte Cassino, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-645-2, za Pinterest.

Nazajutrz obiecywałem sobie od wczesnego rana siedzieć na podsłuchu. Tam przybyliśmy o 10.20 - prawie o tej samej właśnie minucie gen. Anders otrzymał meldunek, że przed paru minutami patrol 12 pułku ułanów wszedł do klasztoru Monte Cassino. Okazało się także, że w nocy i nad ranem wzięto Albanetę, 595 i 567. W chwilę potem widzieliśmy gen. Andersa udającego się na nabożeństwo, które z tego tytułu zarządził.

Koło namiotu ppłk. Michniewicza spotykam go wraz z ppłk. Bąkiewiczem i dowiaduję się od nich, że za chwilę jedzie do zdobytego klasztoru grupa amerykańskich dziennikarzy w towarzystwie polskich oficerów. Błagam, by mnie przyłączyli. Ppłk. M. powiada, że nic nie ma przeciw temu, ale muszę się starać o samochód.

Wyruszyliśmy po 1. Było z dziesięciu, a może i tuzin Amerykanów, z nimi ppłk. Bąkiewicz, paru oficerów informacyjnych, z prasy Bau, Mossin i ja, filmowcy: Jaszcz, Lipiński, Bazarewski, jeszcze jakiś jeden major z kilku żołnierzami i chorągwią do wy(*nieczytelne*) klasztorze, jeden kapelan i ktoś tam jeszcze.

Dojechaliśmy do tzw. car-parku - po prostu łączka u podnóża góry. Dalej idzie już tylko wąska i trudna ścieżka pod górę do drugiego, górnego car-parku. Ruch na niej, oczywiście, jednostronny, a właśnie w dół prowadzą wziętych w klasztorze jeńców: trzy partie po dziesięciu. Młodzi chłopcy, bardzo widocznie zmęczeni, zarośnięci, sami spadochroniarze. Podobno w nocy ponad stu wyszło z klasztoru, który już był odcięty i poszło poddać się Anglikom, by nie dostać się w polskie ręce.

Poszli, ale naszych łazików nie puszczaają. Decydujemy się iść pieszo. Droga ciężka, coraz to trzeba wymijać to łaziki, to grupy robotników włoskich, to patrole sanitarne, to niosących nosze z rannymi, albo trupy owinięte w koce. Trupy leżą także od czasu do czasu, o ile są owinięte, to wyglądają jak jakieś na pocztę przygotowane przesyłki, tylko buty z jednej strony sterczą. Gorzej gdy (*nieczytelne*) owinięte, albo nawet przykryte, bo wówczas rozkładają się i strasznie pachną.

Ścieżka - już wyłącznie dla pieszych i może od biedy mułów, nieco powraca, potem skręca przez siodło w lewo i znowu się podnosi. Jesteśmy tu już na terenie, który nieprzyjaciel może obserwować i ostrzeliwać. Pada zarządzenie, żeby iść w odstępach dwudziestu kroków jeden od drugiego. Mijamy nieco krzaków, widzimy już klasztor, a raczej jego ruinę, wyjątkowo nie zadymioną, tak blisko, jak jeszcze się tej groźnej kupy gruzów nie widziało. Ścieżka zwraca jednak jeszcze w prawo, biegnie równolegle z krawędzi, za którą leżą miski Maioli, aż osiągamy wielki murowany budynek słynny z czasu walk Karpackiej „Domek lekarza”, uwija się trochę ludzi, a przed domkiem leży przy ścieżce rzędem pół tuzina trupów z niezaskłoniętymi twarzami.

Za laskiem droga dość stromo się podnosi - to już wejście (*nieczytelne*) Monte Cassino. Nad nami wznosi się imponująca ściana stosunkowo mało naruszona - to jedyna ocalała północna ściana klasztoru.

Pnę się na wzgórze i sapiąc spotykam gdzieś w połowie wzgórza na kilkadziesiąt metrów przed murem - Wańkowicza. Nie jestem jego adoratorem, złości mnie jego

blaga i interesowność, kłóciliśmy się często o sprawy redakcyjne, aż się prawie obraził – a jednak przyznać muszę, że tym razem opanował mnie podziw, jak poprzedniego dnia na widok tych żołnierzy wnoszących na górę żywność i amunicję. Z jego tuszą i w jego wieku, to naprawdę wyczyn sportowy.

Ścieżka wzdłuż ściany wyprowadza nas na zasypany gruzami plac zachodniej strony klasztoru, gdzie grzbiet jest najłagodniejszy. Sterczy tam jeszcze kilka pni drzew i ruiny jakichś zabudowań. Klasztor od tej strony wygląda opłakanie – potworne rumowisko. Po lewej stronie wejście do jakiegoś tunelu, zapewne niegdyś po prostu korytarza. Stoi tam paru naszych saperów. O parę kroków przed kupą jakichś gruzów pomieszanych z puszkami od konserw itp. – coś się żarzy. Zapytani saperzy wyjaśniają, że to jeszcze Niemcy zapalili.

Patrol z chorągwią musi się wydrapać na szczyt rumowiska, by zawiesić chorągiew na którymś z najwyższych punktów. Drapię się za nimi, co jednak nie jest łatwe, ani całkiem bezpieczne, bo trzeba się dostawać po stromych i wciąż usuwających się pod nogami gruzach, a ponadto nikt nie wie, czy teren nie jest zaminowany. Toteż z całej grupy liczącej ze trzydzieści osób wydrapało się na górę zaledwie siedem-osiem. Spośród Amerykanów widziałem na górze dwóch, Bau i Mossin zostali na dole, Wańkowicz, oczywiście, także... Samo zawieszenie chorągwi polskiej, a obok, ale trochę niżej – brytyjskiej odbyło się właściwie bez żadnej uroczystości, nikt nawet nie krzyknął „Baczność”.

Widać z góry dobrze obszerny arkadowy dziedziniec wewnętrzny, poważny i harmonizujący, ale mocno zniszczony. Figura założyciela klasztoru i zakonu, św. Benedykta, stoi żałośnie na ziemi bez głowy i ręki. Na przeciwległej ścianie – mały proporczyk ułanów, którzy pierwsi tu weszli. Poza tym – gruzy, gruzy, gruzy.

Zastanawiałem się, jak się to stało, że pomimo wszystko taki zwykły murowany, choćby i solidnie, budynek mógł choćby w stanie zburzonym uchronić załogę zarówno w czasie tyłu ciężkich bombardowań lotniczych (*nieczytelne*) artyleryjskich. Jak nazajutrz zeznawał dca załogi, Niemcy prawie nie mieli tam strat od ognia.

Na dole zastałem zaledwie kilka osób. Część już pomaszerowała z powrotem, gdy byliśmy w klasztorze, jakiś pocisk padł przy ścieżce, którą niedawno przechodziliśmy, a ponadto odgłosy walki artyleryjskiej od północy jakoś się ożywiły i

ostatecznie nikt dobrze nie wiedział, kto skąd i do kogo strzela.. Nie widziałem także Baua i Mossina, którzy, jak się potem okazało, chodzili jeszcze po różnych wewnętrznych zakamarkach. Sądząc, że już poszli, a będąc z nimi związany wspólnym łazikiem, musiałem się spieszyć. Poszedłem więc tylko jeszcze wzdłuż głównego korytarza, u wejścia do którego żar jeszcze nie wygasł, zajrzałem do jednego z bocznym zakamarków i wycofałem się. Słyszałem, że w jednym z bocznych korytarzy siedzą trzej ranni Niemcy jeszcze nie ewakuowani, ale nie mogłem się przemóc, by iść ich oglądać. Wziąłem spod muru klasztornego odłamek pocisku na pamiątkę i zabrałem się do powrotu.

Gdzieś na początku lasu spotkałem Baranowskiego, który mi powiedział, że czeka na resztę filmowców i że Bau i Mossin zapewne jeszcze nie wyszli. Nie chciałem już jednak wracać, by się nie rozminąć. Gdy szedłem ścieżką poprzeczną wzdłuż Onufrio - ogień się jeszcze ożywił, a trzy pociski padły o kilkadziesiąt metrów poniżej podstawy klasztoru. Zauważyłem obok ścieżki bardzo rozłożonego trupa - jeszcze chyba Anglika lub Amerykanina sprzed nadejścia na odcinek naszych oddziałów. Kamienie ścieżki w wielu miejscach silnie pokrwawione. Gdy dochodziłem do „Bramki”, słychać było bliskie serie kmów. Tłumaczyłem sobie, że to nasi likwidują ostatnie pozostałe wzgórze 575, ale nie bardzo mi się to podobało. Odcinek pomiędzy Domkiem Lekarza a „Bramką” już nie tylko Amerykanie, ale i nasi żołnierze przebywali biegiem. Koło Domu Lekarza też jakiś ruch bardziej gorączkowy niż przedtem. I ta seria karabinów maszynowych jakby gdzieś o paręset metrów, w dolinie Maioli. Później się okazało, że kontrataku na Albanetę nie było, ale San Angelo, wbrew poprzednim wiadomościom, nie było jeszcze w całości zdobyte jak i 575, a więc bitwa toczyła się od naszej ścieżki chyba nieco ponad kilometr.

Zszedłem do dolnego car-parku koło piątej, a w kilka minut potem zjawili się także filmowcy oraz Bau i Mossin. W II rzucie zastałem Rubla, zadowolonego z trzydniowego pobytu w 1 pułku artylerii lekkiej. Przyniosłem przywiezioną z Neapolu butelkę whisky oraz zachowany z Campobasso kawałek wędzonki i z Wackiem, Bornholzem i Rublem popiliśmy nieco pod to całe piękne zwycięstwo.

Następnego dnia pojechaliśmy z Rublem do sztabu Karpackiej szukać okazji do jakiejś wycieczki. Szczęśliwie się udało, dostaliśmy łazika i pojechaliśmy obejrzeć pole bitwy na wzgórzu 598, zdobytym poprzedniego dnia rano, na parę godzin przed

klasztorem.

Tym razem udało się dojechać aż do górnego car-parku, co oszczędziło nam dużo zmęczenia i czasu, zwłaszcza że Rubel ma jedną nogę słabą (po złamaniu) i chorobę przestrzeni. Swoją drogą podziwiałem, jak łazik piął się po tej wściekle stromej serpentynie, ale się piął.



Kapral Emil Czech gra hejnał mariacki, ogłaszając zwycięstwo pod Monte Cassino, fot. Pinterest.

My tymczasem doszliśmy normalnie do „Bramki”, stamtąd ścieżką pod górę i niezadługo znaleźliśmy się pod grzebieniem z którego nacierali nasi ułani. Czuć tam było jeszcze silnie atmosferę niedawnej walki. Kamienie zarzucone częściami umundurowania, odłamkami pocisków i granatów ręcznych, gilzami, niewypałami,

częściami broni. Tu i ówdzie leżało jeszcze kilka trupów. Oto dwaj nasi żołnierze spaleni przez leżący obok, już zniszczony, niemiecki miotacz płomieni. Jeden leżąc szczerzy z wypalonych ust złote zęby, drugi, prawie na czarno zwęglony, pół siedzi w jakimś strasznym skurczu. A oto pokazują tzw. bunkier niemiecki. Dziura w skale dość głęboka, przykryta zo(*nieczytelne*) tylko szczelina szerokości 20-30 cm, ale skierowana ku górze. Żeby z tego strzelać, trzeba wyleźć, albo co najmniej mocno się wychylić.

Ze wszystkiego widać, że tu, gdzie stoimy, musiała się odbywać rzeczywiście walka prawie wręcz, na niezmiernie bliską odległość. Po ziemi leżą liczne zawleczone od ręcznych granatów - rzucanych przecież nie dla ćwiczenia. Oglądamy szereg stanowisk, gdzie leżeli Niemcy, gdy już nasi zajęli sam szczyt - są to wnęki może o metr lub dwa za krawędzią skalną okalającą szczyt, a więc o kilka lub kilkanaście metrów od stanowisk, gdzie już byli nasi. Jedni leżeli po jednej, drudzy po drugiej stronie wysokiej na kilkadziesiąt cm krawędzi i rzucali do siebie granatami nie mogąc się podnieść, bo każde wychylenie się oznaczało śmierć.

A za krawędzią z prawej strony - dość stromy spadek w dolinę pośrodku której bieleje spora ruina obok której stoi parę unieruchomionych czołgów - to właśnie Masseria Albaneta, klucz całej pozycji. Oczywiście, łatwo powiedzieć: klucz, ale przecie nikt by się tam długo nie utrzymał mając nieprzyjaciela na 593 i na San Angelo widocznym z drugiej strony. A więc kluczem są te trzy punkty łącznie, czy też dla otwarcia tej górskiej bramy potrzebne są trzy klucze. Ale zdobywanie Albanety, gdy jeszcze ani S. Angelo, ani 593 nie były opanowane w zupełności, to rzeczywiście, na oko sądząc, zadanie dla szaleńców. Dlatego tyle kosztowało i dlatego mogło się udać tylko pod osłoną nocy i czołgów.

Strzelanina już tego dnia była znacznie odleglejsza, dymy wykwiwały na zboczach Monte Cairo, gdzieś w kierunku Passo Corno - bardziej w lewo od Piedimonte.

Po długiej, żałosnej wędrówce dotarliśmy wreszcie do dolnego car-parku wyglądając jakiejś okazji. Tym razem udało się, bo nie wiadomo dlaczego dwaj Anglicy, którzy byli z nami, a zjechali w dół już przeszło godzinę temu, jeszcze nie odjechali i uprzejmie zaproponowali nam miejsce. Dowieźli nas do sztabu III dywizji. Tam zjedliśmy podwieczorek w towarzystwie gen. Ducha i ppłk. Piątkowskiego i

dostaliśmy łazika na dalszy powrót.

Nazajutrz kończył się nasz tygodniowy wypad. Rano pojechaliśmy jeszcze do I rzutu podziękować za opiekę i pomoc, na obiedzie spotkaliśmy majora Czapskiego i kapitana Gierata, którzy przyjechali osobowym samochodem i z nimi wróciliśmy bez przygód do Neapolu.

Józef Poniatowski (1897-1995) ekonomista, redaktor naczelny „Orła Białego” na Bliskim Wschodzie i we Włoszech (1942-1944), Minister Spaw Krajowych w gabinecie dr Stanisława Ostrowskiego w Londynie.